TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 16. *Chicago, Ills., 15 Października, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 — 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

PRZYGODA W RADOMIU.

...Owo tedy takim dziwnym sposobem, jak to już słyszeliście, dostałem się po ośmiu latach ciężkiej żołnierskiej tułaczki na ziemię ojczystą, pod rodzinną strzechę. Że mi tu dobrze było i słodko, że zaznałem wytchnienia i miłego wczasu, o tem już chyba mówić nie potrzebuję; choć sercu przyjemnie to bardzo przypominać sobie te chwile, najszczęśliwsze pono, jakich zażyłem czasu żywota mego całego.

Musiałem ja się wyspowiadać do słówka z wszystkich przygód moich przed rodziną, która łakomą była opowieści z ust swego opłakanego już dawno członka. „Gadajże Wituś a gadaj, jak to było a kędyś się obracał, a jako ci się tam wiodło, a czegoś tam zaznał?" — tak nawoływano ciągle, a Wituś też bajał, i bajał bo miło jest duszy zwierzać się z przebytych przygód i frasunków przed osobami, co każdego słowa nie jeno uchem, ale jakby sercem chwytają.

Więc tedy na całą długą zimę starczyło tei mojej naracyi. Toż jakby dziś jeszcze widzę, jak bywało zasiędziem szerokiem kołem przy kominie, rodzina i mili sąsiedzi — a ja im prawię o mojej applikacyi wojskowej, o regulamentach i artykułach, o kampamentach i polowych obozach, o wielkich bataliach i drobnych potyczkach, w których się bywało, o królu Frycu, jako mnie pod Lowositz klepał po ramieniu, forsztelując pułkownikowi do rangi, gdym dwie armaty austryackie jeszcze gorące wziął moim plutonem, o sztraszliwościach wojny i przeróżnych wypadkach żołnierskiego życia.

Tak ich przy tem ognisku wszystkich widzę jakby tu byli przedemną, choć temu lat pięćdziesiąt z okładem: i matkę moją drogą, jak tuż koło mnie siedząc, oczu swych ze mnie nie zdejmuje ani na chwilę, i rodzica, jak słuchając siwego wąsa pokręca, i Hanię przy krosnach, jednem uszkiem słuchającą mojej powieści, a drugiem słówek pana Rotnickiego, przyszłego szwagraszka mego. Toż gdym prawił tak rodzinie mojej, zdało mi się nieraz, że to co im mówię, snem było tylko ciężkim a nie prawdą; tak nagła a dziwna była ta zmiana losu mojego.

Blizko rok cały tak przesiedziałem w domu, nabywając znowu polskiego i szlacheckiego polerunku po pruskiej edukacyi, zaprawiając sobie język do mowy ojczystej, którą sromotnie popsowałem w obcym narodzie. Nie myślałem w tym czasie o sobie, bo prawie nie było i kiedy. Zjeżdżała się codzień prawie z sąsiedztwa bracia szlachta patrzeć na mnie jak na morskie dziwo jakie, a każdy wypytuje i ciągnie za język, abym mu też co z moich ciekawości opowiedział. Matka mi też o przyszłości ani słówkiem wspomnieć nie da, usta mi ręką zamyka i tłumaczy:

— Nie trudź ty sobie głowy Witusiu i nie frasuj się, jak dalej będzie, byleś wypoczął i pożywił się, bo cię z tej pruskiej żołnierki puszczono jak charta ze smyczy. Takiś ty jeszcze zaschły i znędzniały, że ci jeno siedzieć w domu a zdrowia doglądać. Chleba nam Bogu dzięki dziś nie brak; nie zawadzasz nikomu, siedźże cicho, niech się tobą matka nacieszy, a nie ruszaj się nawet za próg aż po weselu Hani.

Tak mi matka perswaduje z serdecznej dobroci, ale rozum i ambicya inaczej znowu radzą. Wprawdzieć stan moich rodziców znacznie się polepszył z łaski Bożej i z niespodziewanej przedśmiertelnej hojności śp. JMĆ Pani podczaszyny Żołyńskiej; fortunka była wystarczająca na życie uczciwe, ale to nie racya była, abym ja, chłop już dojrzały i oficer, podpierać miał piece w domu i próżniacze wiódł życie. Nie było tam zresztą i takiej abundancyi w rodzicielskim domu, ot wyraźnie tyle, ile na stanik poczciwy szlachecki przypada. Owo więc na seryo myśleć trzeba było o sobie i szukać zawczasu przyzwoitego opatrzenia.

Już to otwarcie przyznać się muszę, że mi się nieco markotno zrobiło, gdym tak poważnie i gruntownie o własnej przyszłości pomyślał. „Nosiłeś bracie kości po obczyźnie, mówiłem sam do siebie, trzeci krzyżyk ci dobiega, a oprócz rzemiosła żołnierskiego nic nie umiesz i do niczegoś nie sposobny. Zaczynajże teraz nieboże od początku i przegryzaj się przez świat, jako mógł będziesz". Frasowało mnie to bardzo i nieraz sen w nocy spędzało z powiek, ale czekałem jeszcze z ostateczną decyzyą, aż siostrę wydadzą i w domu się już uspokoi.

Zaraz też po weselu uprosiłem ojca na konferencyę i zwierzyłem się przed nim, że myślę zakierować jakoś sobą i że proszę go o rodzicielską radę. Proponował mi ojciec, abym przy roli został i wraz z bratem Andrzejem na rodzinnym zagonie osiadł, a już innego chleba nie szukał w świecie. Nie mogłem być powolny tej woli ojca, która raczej z serca niż z rozwagi płynęła, bo ano co by ze mnie był za gospodarz? Człek znał się tylko na koniu i na broni, na egzercerunku i na artykułach wojskowych, a lichoć tam z gospodarza, co się w obozie chował, a całą ekonomię na tem zasadzał, że pszenicę od żyta, z blizka bardzo opatrzywszy, odróżnić umiał. Dziękuję ja tedy ojcu pokornie za jego dobroć dla mnie i mówię:

— Nie usiedzę ja już chyba na grzędzie, a choćbym i usiedział, z kiepska po dragońsku będę gospodarzył. Nie chcę być zawadą ani Tobie, panie ojcze dobrodzieju, ani Andrzejowi, a chleb też darmo jeść i bochaterstwa pruskie sobie wspominać, sąsiadów niemi bawiąc, nie przystoi mi wcale. Czegom już raz nadgryzł, niechże sobie tego dogryzam dalej. Żołnierkę to już rozumiem, i ta mi sprawnie idzie, bo mnie w niej dobrze Niemcy ćwiczyli, niechaj tedy ona mnie nadal żywi i opatruje. Alboż to w naszej Rzeczypospolitej żołnierz już nie znajdzie miejsca w szeregu? na biedę by to było, gdy-

bym w własnym, rycerskim kraju nie miał tego, com miał pod cudzemi znaki! Nie żądam niczego od was, bo sami nie wiele macie; jeśli mnie łaska wasza cząstką jaką fortunki opatrzyć chciała, to się jej zrzekam i na augmentacyę Haninej wyprawy przeznaczam. Mam moje małe porządki żołnierskie, trochę też i talarów znajdzie się w ładownicy, co się tam uciułało z żołdu; umiem przestać na małem, bom się tego miał czas przyuczyć, a oficerską rangę wykołatam już sobie jakoś. Dajcież wy mi tylko błogosławieństwo wasze, a będę dobrze opatrzony.

Certowali się ze mną o to długo: i ojciec i matka i brat Andrzej, doradzając, abym już żołnierkę moją zawiesił na kołku, jako to teraz w Polsce chleb niewdzięczny, i jako dobrego wakansu nie znajdę.

— Części twojej w tem, czem nas Bóg obdarzył — mówił ojciec — ty się nie odrzekaj, boś nam żadnym ciężarem nie jest, a jeno to sobie weźmiesz co ci się jako krwi naszej po ludzkiem i Bożem prawie należy. Wy sobie z Andrzejem siedźcie na Zadębiu, nam starym opatrzenie dożywotnie obmyśławszy. Połowa Zadębia twoja, a połowa Andrzeja; Hania niczego już nie potrzebuje, bo wyprawę już dostała, jako na szlacheckie dziecko wedle uczciwości stanu przystoi; a Rotnicki nie brał jej dla fortuny, bo jest bogaty i sto razy by nas kupił, a jeszcze dworno żyć z czego by mu zostało.

— Kiedy już koniecznie sługiwać chcesz dalej w rycerskim rzemiośle — ozwał się brat Andrzej — to podjeżdżaj pod chorągiew pancerną. Tyle grosza znajdzie się w domu, abyś się wkupił w towarzystwo i stawił na rejestr, czego żądać będą. W chorągwi JW. p. hetmana polnego jest właśnie wakancya, bo Towarzysz JMĆ. pan Pożarko chce ustąpić z towarzystwa. Jakoś to będzie z większą estymą i zachowaniem u ludzi, kiedy będziesz Towarzyszem, a stać cię na to. Jako patentowany oficer pruskiego króla, nie długo a będziesz namiestnikiem, a kto wie czy nie chorążym, a to już ranga i splendor rycerski nie mały.

Rada w radę stanęło przecie na tem, że czy tu czy tam, ale zawsze wojskowo służyć będę. Zrobiliśmy tranzakcyę z Andrzejem o spłatę mojej części Zadębia, przyczem serdecznej kłótni i braterskiego certowania się było co nie miara, bo mi więcej dawał i wziąść zmuszał, niźlim ja wziąść chciał. Narzucił mi w końcu Andruś sumę jak dla mnie bardzo znaczną — i część zaraz w gotowiźnie wypłacił, abym zapaśniej w świat mógł wyruszyć.

Gdyśmy już takową tranzakcyę familijną spisali, chciałem się natychmiast wybrać do Warszawy, aby wcześnie pochwycić jaki wakans w wojsku i zaprezentować się hetmanowi, a jak dobrze pójdzie i samemu Królowi Jegomości. Powstrzymali mnie od tego ojciec i Andrzej, radząc, abym zaczekał dni kilka, bo niebawem przyjedzie do Zadębia JMC. pan Pożarko, Towarzysz chorągwi pancernej Hetmana Polnego, którego chorągiew wysłała jako deputata do egzakcyi. Wstrzymałem się z wyjazdem dość ochotnie, bo mi ta myśl wdzięczna była, że po tylu latach obcej służby przecież pod staropolskim, rycerskim i jak mawiano poważnym znakiem służyć będę, i że się zatytułuję Towarzyszem Pana Hetmana.

Jakoż istotnie w tydzień potem przyjechał Imć pan Pożarko, towarzysz pancernej chorągwi i deputat do egzakcyi. Ledwo wjechał na podwórzec, już zaraz na pierwszy widok jego pomyślałem, że nie dla mnie chudopachołka rzecz piąć się do towarzystwa. Zajechał ładnym karabanem i z dwoma pachołkami, z koniem wierzchowym u troku, który okryty był kutanem pomarańczowym tkanym. Sam był ubrany w kosztowny żupan, przy boku miał szablę, bogato oprawną, i sajdak z szczerego srebra, na plecach najprzedniejszą burkę krymską, podbitą pięknym atłasem niebieskim.

Przyjmowaliśmy go w domu z wielką rewerencyą, jak to na Towarzysza pancernego znaku przystało, a Andrzej zaraz mu wyplacił podatek, który z naszej wsi na chorągiew jego przypadał. Dwa dni zabawił u nas pan Towarzysz, a przez ten czas miałem sposobność, zasięgnąć dobrych informacyj o służbie w chorągwi. Aż mi się straszno zrobiło takiej szalonej imprezy, której mi ojciec i Andrzej chyba na to doradzali, aby mnie już od wojska chyba na zawsze odwieść i na roli osadzić.

Nie wiedziałem ja tego, w Polsce bardziej cudzoziemcem niż swojakiem będąc, co to za wielki panicz bywał taki każdy Towarzysz i jakie pod chorągwią rządziły zwyczaje. Zdawało mi się, że u nas tak, jak gdzieindziej: wojsko wojskiem, a żołnierz żołnierzem, a nie jakowymś dostojnikiem wielkiej i pańskiej powagi. Śmiał

się też ze mnie prosto w oczy pan Pożarko, gdy się z nim w dyskurs wdałem.

— Panie deputacie — mówię mu — chciałbym podjechać pod chorągiew, bo mi to radzą pan ojciec i brat Andrzej.

— Bardzo Waćpanu pochwalam taką ochotę — odparł p. Pożarko — a właśnie dobra ku temu nadarza się okazya. Jest wakancya na jednego Towarzysza w chorągwi naszej, możesz Waćpan tedy wykonać swój zamiar.

— A jakże się tam dostać? — pytam.

— Dla Waćpana rzecz to nie będzie zbyt trudna, boś już i wojskowy i z zacnego szlacheckiego domu pochodzisz. Cała rzecz p. hetmanowi się przymówić, dać się towarzystwu zaprezentować, a potem coś na regestr stawić...

— A ileż by to potrzeba stawić na regestr towarzyski?

— Nie wiele — odparł p. Pożarko — za jakie 300 czerwonych mógłbyś Waćpan pod znak podjechać — to prawie za pół darmo...

— A ileż taki towarzysz żołdu pobiera? — zapytałem.

Uśmiechnął się na to zapytanie p. Pożarko i rzecze:

— Już to znać zaraz, że Waszmość w Polsce nie bywały, i że z niemiecka rzecz tę konsyderujesz. Bierzeć tam jakąś laffę towarzysz, ale o niej się nawet nie mówi, bo to przy chorągwi zostaje. Masz Waćpan wiedzieć, że towarzysz nie dla żołdu a dla honoru rycerskiego służy. To też towarzysz sowity nie tylko, że o nędzną laffę nie stoi, ale jeszcze płacić musi swemu pocztowemu, bo kiedy służysz pod chorągwią z prezencyą, to masz Waćpan wystawić jednego pocztowego, a kiedy bez prezencyi, to dwóch i to z końmi i z całym munderunkiem.

— Masz tobie towarzystwo! — pomyślałem sobie, a potem tak dalej pytam JMĆ Pana Pożarki:

— A jakowyż u was awans pod chorągwią?

— Jako towarzysz z młodszego końca o awansie Waszmość i nie myśl nawet — odpowiada mi na to — chyba żeby cię z czasem namiestnikiem w chorągwi obrano. Co wiedzieć zresztą, jeśli Waszmość ustawnie z aktualną rezydencyą służyć zechcesz, to być może, że kiedyś chorągiew nosić będziesz. Ale na co Towarzyszowi awansu, kiedy to splendor znakomity i powaga dostojna sama przez się...

— Któż wam rozkazywać ma prawo, Mości panowie? — pytam dalej.

— Rozkazujemy sami sobie, po szlacheckiej i rycerskiej równości.

Takiego wojska ja nie widziałem jeszcze, gdzieby człowiek sam sobie był starszyzną i komendantem, więc też wpatrzyłem się na p. Pożarkę dużemi oczyma, a on w śmiech, i ojciec mu mój wraz z Andrzejem w śmiechu tym sekundują. Nareszcie rzecze p. Towarzysz.

— Nie bądźże Waćpan krzyw za to, że się śmieję; ale Waćpan na obcej ziemi i pod tyrańskiemi rządy wzrosły, nie znasz naszych rycerskich zwyczajów polskich. Wiedzże Waćpan, że powaga każdego Towarzysza tak jest wielką, iż on drugim rozkazywać i przewodzić przywykł, a nie drudzy jemu. Towarzysz nie służy pod nikim, jak to już samo jego nazwanie okazuje; nie służy pod Królem Jegomością, pod panem Hetmanem, ale z Królem Jegomością i z panem Hetmanem. Na to on i Towarzysz. Jakoż jeźli o starszeństwo chodzi, to Towarzysz starszym jest od wszelakiego oficera innych autoramentów, starszy nawet od pułkownika, który nawet z całym swym regimentem pójść może pod komendę Towarzysza.

— A jakież u was regulamenta?

— Jakie regulamenta? My mamy nasze artykuły na wojnie tylko, a o żadnych niemieckich regulamentach nic i wiedzieć nie chcemy.

— A jakoważ komenda i egzercerunek?

— To wasze szarżerunki, egzercerunki, regulamenty i krygsrechty to dobre jest dla żołnierza nieszlacheckiej kondycyi, i znajdziesz to Waćpan wszystko w Polsce tylko przy wojsku cudzoziemskiego autoramentu, ale nie pod chorągwią. Chcesz Waćpan wiedzieć, jaka u nas komenda, to ci to w dwóch słowach wyłożę: Pierwsze tempo: Nabij! drugie tempo: Zabij! Owo masz Waćpan komendę pancernego znaku!

— Nabij! Zabij! — powtórzyłem w duchu. — A no, chciałbym cię widzieć tak w regularnej batalii, biedy byś zjadł, czybyś ty nabiwszy, zabił też kogo!

Po takim egzaminie wybiłem sobie z głowy podjeżdżanie pod znaki poważne, widząc że to zabawa rycerska nie dla mnie, ale dla wielkich panów i magnatów. A zresztą, gdyby mi i stać na to było, to jużem ja w innej podchował się

szkole i innej żołnierki był zwykły, aby się do tej swobodnej i butnej zabawy przydać. I przypomniało mi się naraz, jak to mój obersztер, pan Koggeritz, kiedy który z oficerów subordynacyi ściśle nie chował, w adjustunku jaką fanaberyę okazywał, i fantazyą swoją się rządził, takiemi słowy go karcił:

— Nauczę ja cię porządku, *du polnischer Towarisch!*

Zdumałem się tedy z frasunkiem i pytam po chwili p. Pożarki:

— Rozumiem ja teraz Waćpana, panie Towarzyszu, i nie dla mnie to chudopachołka taka zuchwała improza, podjeżdżać pod znak pancerny albo hussarski. Ale powiedzże mi Waćpan, czyż już dla ubogiej krwi szlacheckiej nie ma w Polsce sposobu służyć rycersko? bom się Waszą tą opowieścią o znakach pancernych nie pomału skonsternował.

— Masz Waćpan jeszcze wiele innych pułków, w których uczciwy szlachcic służyć może wojskowo Rzeczypospolitej. Masz Waćpan lekką kawaleryę jazdę przedniej straży, a skoro ci się takiej samej niewoli zachciewa, jakiej Waćpan zażyłeś pod komendą pruską, to ją znajdziesz i tutaj w pułkach cudzoziemskiego autoramentu.

— Jadę ja tedy do Warszawy, jako mowa była, panie ojcze! — mówię do mego rodzica i do Andrzeja.

— Jeżeli Waćpan chcesz jechać za wakansem jakim wojskowym — ozwał się na to p. Pożarko — to mu nie radzę jechać teraz do Warszawy, ale do Radomia, bo tam teraz właśnie odbywa się komisya. Na radomskiej komisyi prędzej co zrobisz niż w Warszawie.

— A co to jest? ta radomska komisya? Powiedzcież mi, bo widzę już, że na to przyszło, iż ja cudzoziemcem jestem w własnym kraju.

— Jestto trybunał do spraw wojskowych i skarbowych. Znajdziesz Waćpan tam mnóstwo oficerów polskiego i cudzoziemskiego autoramentu, bo na komisyę tę każdy regiment i każda chorągiew wysyła swego plenipotenta. Tam się załatwiają rozmaite sprawy wojskowe, toż tam najłatwiej się dowiesz Waćpan, gdzie jaki wakans, lub kto ma jaki stopień do sprzedania.

Nie mogąc na mnie tego wymódz żadnym kształtem, abym zaniechał moich żołnierskich intencyj, zgodzili się w końcu na radę p. Pożarki ojciec mój i Andrzej, to też zdecydowałem się, jechać zaraz do Radomia i szukać tam opatrzenia. Zabrawszy tedy z sobą patenta moje pruskie, wyjechałem w kilka dni do Radomia.

Odbyłem podróż konno (bo mi Andrzej podarował dwa dzielne konie własnego swego chowu), a pachołek wiózł za mną w małej kałamaszce wszystko, co mi do drogi potrzebnem było. Kiedy stanąłem w Radomiu, już się komisya od tygodnia była rozpoczęła, a zaraz na samym wjeździe do mieściny spotkałem mnóstwo oficerów rozmaitej broni i rozmaitego autoramentu, kręcących się tam i sam to po ulicach, to koło zamku, w którym trybunał zasiadał.

Zjazd był wielki a mieścina bardzo mała; w gospodach ścisk taki, że i szpilki byś już nie wetknął nigdzie; prywatne stancye zajęte przez pp. komisarzy i plenipotentów — zgoła kłopot wielki gdzie się pomieścić z końmi i z pachołkiem. Nareszcie żydek jakowyś wynalazł mi kwaterę na Jedlińskiem przedmieściu, w małej i starej chałupinie jakiegoś szewca — i tam się też roztasowałem, jak można było. Szukając kwatery po miasteczku, zauważałem, że mało kto prócz palestrantów chodził nie po wojskowemu, i że kędyś spojrzał, wszędy się przewijały mundury, a między niemi też i cudzoziemskie — to też z tej racyi i ja umyśliłem ubrać się w mój dawny mundur pruski, który na wszelki wypadek kazałem był zapakować do tłumoka.

Wstąpiłem tedy do balwierza i kazawszy się gładko ostrzydz, bo już nie było czasu dać sobie harcop upleść po przepisie, ubrałem się w mój niebieski mundur z ponsowemi ranwersami, w sztylpy z ostrogami, przypasałem szpadę, wziąłem kapelusz i dragońskie rękawice z karwaszami — i tak z dobrą miną wyszedłem do miasta, aby się rozpatrzyć i zasięgnąć języka. Kędy spojrzeć było, wszędzie przewijały się najrozmaitsze mundury, to autoramentu cudzoziemskiego, to poważnego znaku, nawet i generałów nie brakło, choć to już byli tylko generałowie od pustego regimentu, jak to ongi nazywano, to jest tacy, co za jakimś tam uproszonym patencikiem ubierali się w czerwone fraki z grubemi złotemi szlify, a nie komenderowali nigdy i nikim, chyba przy pełnej butelce lub w gronie gospodowych konwersantów...

Nigdziem się tak dobrze nie przekonał, jako prawdą najrzetelniejszą było ono stare przy-

słowie polskie: „dwa dragony a cztery kapitany,” jak tu na tej radomskiej komisyi. Kiedym był jeszcze w służbie pruskiej, dziwiłem się nieraz, że w każdem niemal wielkiem mieście po gospodach spotykałem czerwone kurty i złote bandolety, a każdy co w nich chodził, zwał siebie polskim oficerem. Prawdać najczęściej taki pan oficer polski i słówka po polsku nie umiał, ale patent miał, jako należy, i oficerem polskiego króla Jego Mości się tytułował. Najczęściej bywali to Włosi, ludzie nie najczystszej konduity, kartownicy a z gęsta i pospolite szalbierze, co sobie w Dreźnie lub Warszawie jakiemiś praktyki wyrobili tytuł wojskowy, nigdy prochu nie wąchawszy a nawet szeregu nie widziawszy.

Im dalej w las, tem gęściej drzew — toż w samej Polsce tyle tych oficerów widzieć było można, że gdyby na jednego choć tuzin pocztowych przypadał, w całym chrześciańskim świecie nie byłoby takiej okrutnej wojskowej potencyi, jako ta nasza Rzeczpospolita biedna. Ano tymczasem przeciwnie to było. Oficera huk a żołnierza nie masz, szlif i felcechów jako gwiazd na niebie, a muszkieta ledwo na pokaz; chorągiew od srogiej biedy ledwo pokryta, na półkopie szkap mizernych stoi, a ma sztab i untersztab cały; w regimencie pieszym, co ledwie stu muszkietami sterczy, tuzin generałów, brygadyerów i obersztérów. Owo ten pan generał amplojowany, ten nie amplojowany, ten forsztelowany, ten nie forsztelowany, ten sobie pułkownikiem bez pułku, a ów kapitan bez kompanii, ten agreże, ten tytularny, ów ledwo że sobie samemu jest komendantem, konia nie ma, a chyba na papierze i na rangliście jeździ! Dajże ty takiemu oficerowi szponton do ręki, ani go wziąść nie umie ledwie że felcechem opasywać żebra jako tako potrafi, i salutę zna, gdy mu warta broń skweruje!

Rozmyślając sobie tak markotno nad takim mizernym stanem polskiej broni, szedłem ulicą ku zamkowi i pytam po drodze jakiegoś młodego palestranta, gdzie się oficerowie schodzą i gdzie bym się mógł z nimi skomunikować?

— Idź Waćpan, panie oficerze, do zamku — mówi mi zapytany — tam w lewej oficynie jest winiarnia Mursza, a tam Waćpan całe towarzystwo znajdziesz... A gdybyś tam Waćpan nie znalazł jeszcze którego z panów oficerów, to sadź już Waćpan na pewno i jak w dym do pana majora Sabi, a znajdziesz go tam Waćpan przy tryszaku albo przy makao.

Podziękowałem palestrantowi i poszedłem do winiarni Mursza. Ledwie drzwi odchyliłem i rozglądnąłem się po pokoju, w którem wśród ogromnego hałasu krzepili się winem oficerowie najrozmaitszej broni, tu nagle słyszę wołanie z drugiego końca izby:

— Hola! Narwoj kamerad, a ty tu co robisz!?

Patrzę zdziwiony, ktoby mnie znajomy wołał i ku niemałej uciesze mojej poznaję kapitana Deibla. Był zaś ten Deibel de Hammerau szlachcicem saskim, ale już w Polsce zrodzonym i podczas ostatniej wojny poszedł na ochotnika jako sztucjunker do artyleryi saskiej. W bitwie pod Leuthen, atakując bateryę, sam go do niewoli wziąłem — a że był chłop szczery i serdeczny i po dobrej połowie rodak, więc mu jako jeńcowi niejedną dobrą usługę oddałem i przyjaźń jego sobie zaskarbiłem. Ujrzawszy mnie tedy, a zdziwiony żem tu w Radomiu spadł jakby z nieba w całym pruskim munderunku, rzucił mi się w ramiona i począł mnie ściskać i całować z wielkim affektem.

Jakoś mi się już weselej zrobiło, gdym dobrego znajomego spotkał, zaraz się do Deibla i jego towarzyszy przysiadłem; a był tam z nim Curtius, Hanowerczyk, ten sam, co później był pułkownikiem regimentu pieszego pod szefostwem p. Puławskiego, i Wedelsztedt, który właśnie wstępował do wojska. Deibel, że był bardzo zdolny żołnierz i na wojnie się nieraz odznaczył, nim go od dymiącej się jeszcze armaty jeńcem chwyciłem i że miał łaskę u dworu i protekcyę, został kapitanem bez opłaty i szedł do Kamieńca Podolskiego, gdzie się znajdował jego regiment artyleryi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CZERWONY PIES.

(Dokończenie.)

Kasia postanowiła podjąć się służby w miasteczku niezbyt obległym, by przynajmniej od czasu do czasu mogła się dowiedzieć czego o swym ojcu. Przed tem jednak udała się do swego dobroczyńcy, starego pustelnika, by się z nim pożegnać. Ten cieszył ją nieskończoną dobrocią Boga, który czuwa nad sierotami i prędzej czy później łzy ich w radość zamieni, lecz przestrzegł ją zarazem, by się miała na baczności przed niegodziwym Marcinem. Wzmocniona i pocieszona słowami pustelnika, szła Kasia odważnie przez las w towarzystwie wiernego Nero. Nawet nadchodząca noc nieprzejmowała ją strachem, bo mówiła do siebie: „Bóg jest mem światłem w ciemności i moim przewodnikiem w pielgrzymce żywota." Właśnie chciała usiąść na pniu ściętego buku, by wypocząć, gdy ujrzała coś nadzwyczajnego. Niebo stanęło w płomieniach, niezliczona moc gwiazd przelatywała po niebie, ogniste kule zlatywały z sykiem z płomienistego nieba, a po chwili spadł cały wóz, złożony z gwiazd i kul ognistych przed nią na ziemię. Młodzieniec w białej jak śnieg odzieży siedział na nim i tak przemówił do niej: „Nie możesz dłużej pozostać w tej okolicy, gdzie ci wielkie grozi nieszczęście, usiądź przy mnie, zawiozę cię ztąd daleko."

Kasia wzbraniała się z początku, lecz nakoniec dała się namówić i wsiadła do jaśniejącego powozu. Nero wskoczył za nią i położył się u jej stóp.

Kasia ujechała prawie trzydzieści mil w powietrzu, całą tę drogę przespała smacznie. Po wschodzie słońca obudziła się na zielonej murawie, i zdziwiła się niezmiernie, ujrzawszy się w zupełnie innem ubraniu. Pierścionek i inkluz znalazła w kieszeni. Zaledwie się podniosła, by iść dalej, gdy ujrzała przybywający orszak Tatarów. Zwykle tak odważny Nero ukrył się skomląc za swą panią; uciekać niepodobno tu było, uklękła więc i błagała o litość; lecz nagle Tatarzy wydali okrzyk przestrachu, zwrócili konie i zniknęli w szybkim galopie.

Zaledwie Kasia przyszła do siebie z pierwszego przestrachu, gdy drugi oddział Tatarów ukazał się na dolinie, miała jednak tyle czasu ukryć się w krzakach po nad drogą Nero za zbliżeniem się jeźdźców dziwne wyprawiał skoki, wył przeraźliwie, nareszcie zniknął z ócz Kasi. Napróżno oczekiwała powrotu wiernego stróża. Szła dalej oglądając się za każdym krokiem czy Nero nie wraca. Tak przybyła do gęstego lasu, i po długim biegu napotkała chatę, do której wstąpiła prosząc o jaki posiłek.

Zaledwie odpoczęła cokolwiek, gdy cała chmara Tatarów wpadła do izby. Związano Kasi ręce, wsadzono ją na konia i uprowadzono ze sobą.

Około wieczora przybyli do porządnej wioski, gdzie się na noc zatrzymali. Dla Kasi kazali dać słomy na posłanie i dali jej smaczne potrawy dla posilenia jej. Jeden z Tatarów, który umiał trochę po polsku, powiedział jej, by się przespała, bo jutro skoro świt pojadą dalej, gdyż dowódzca Tatarów, któremu dla rzadkiej piękności przedstawioną być miała, rozłożył obóz o dziesięć mil odtąd.

Pomodliwszy się pobożnie, położyła się na twarde posłanie i wkrótce sen słodki złagodził jej całodzienne cierpienia.

W nocy obudziła się nagle. Zdawało jej się, iż ją coś ciągnie za suknie. Lecz było tak ciemno, iż nic rozpoznać nie mogła. Mimowolnie wymówiła Nero, a skomląc i radując się, zaczęło poczciwe zwierzę ciągnąć ją i szarpać za suknie, tak silnie, iż się podniosła i musiała iść za nim. Przeprowadził ją tak Nero przez cały obóz tatarski, do ciemnego lasu, a ztąd przez różne manowce

aż na gościniec bity. Szła dalej, aż przyszedłszy do cienistego gaju, położyła się pod drzewem i spała ku południowi. Szczekanie Nerona i gwałtowne szarpanie ją za suknie, zbudziło ją nagle, otworzyła oczy i jakież było jej zdziwienie! przed nią stał Paweł w mundurze oficera.

Ujrzawszy swego dawnego towarzysza czerwonego Nerona, przyszedł na myśl, iż w tym gaju musi się kto znajomy znajdować. Skoczył z konia i ujrzał wkrótce towarzyszkę szczęśliwych lat dziecinnych. Ich powitanie było serdeczne, Paweł wziął Kasię ze sobą na konia i pojechał z nią do obozu. Przybywszy, prosił generała którego był ulubieńcem, o pozwolenie odwiezienia biednej sieroty do przyległego miasta. Generał patrzał z zadziwieniem na tę piękną dziewczynę, lecz bardziej jeszcze podziwiał jej skromne i dobre wzięcie.

Paweł nie powiedział nic, z jakiego była stanu, przedstawił ją tylko za sierotę.

„Możesz moje dziecko," mówił generał, „zostać za pannę bawiącą u mej siostry, która przed kilku dniami straciła męża w bitwie z Tatarami. Potrzebuje rozweselenia; ty potrafisz zapewnie pocieszać ją, straciwszy sama tyle ukochanych osób. Ma ona jedyną trzyletnią córeczkę; tą się zajmij serdecznie, a będzie ci tam bardzo dobrze.

Paweł odwiózł ją do siostry generała i widział z radością, jak mile tam przyjętą była.

Kasia czuła się bardzo szczęśliwą, bo była tylko mil kilka oddaloną od ojca i mogła dowiadywać się o nim. Przez kilka miesięcy pędziła Kasia swobodne i przyjemne życie, gdy razu jednego Nero wpadł niespodziewanie do salonu pani pułkownikowej. Mała Michalina tak się przelękła czerwonego psa, iż odtąd nie chciała ani patrzeć na Kasię i krzyczała gdy ta zbliżała się do niej. Pani pułkownikowa uważała bacznie na postępowanie swego dziecka i przyszła na tę myśl, iż Kasia przez czary zadała strach taki jej dziecku, zwłaszcza, iż w mieście zaczęły się podobne pogłoski szerzyć o biednej Kasi. Dziwiło ją także niemało, że ta biedna dziewczyna, która powracała z niewoli tatarskiej i ani grosza przy sobie nie mieć się zdawała, rozdzielała znaczne summy pieniężne pomiędzy ubogich miasta i zrujnowanych przez wojnę. Przytem powiadali sobie ludzie po cichu o starcu z siwą brodą, który się często przy zamkniętych drzwiach ukazywał w jej pokoju.

Pani pułkownikowa zaczęła się odtąd obchodzić z Kasią zimno i pogardliwie, a ta przypisywała to temu, iż się dowiedziano, z jakiego pochodziła stanu. Stawała się więc biedna dziewczyna coraz nieśmielszą i smutniejszą, i chciała się już rzucić do nóg swej pani i wyznać wszystko, gdy się zdarzyło coś, co jej losowi inny zwrot nadało.

Pewnego poranku bawiła się Kasia z dzieckiem, które jak zwykle wielki do niej wstręt okazywało. Pani pułkownikowa dała mu pierścionek kosztowny do zabawy, który był podarkiem od jej brata, potem poszła w odwiedziny do znajomej sobie hrabiny P. Wróciwszy do domu chciała go odebrać dziecku i schować, lecz nigdzie nie było go można znaleźć. Kasia zapewniała, iż ani dziecko, ani ona nie oddaliła się na chwilę z pokoju. Wszelkie podejrzenie spadło więc na Kasię.

Na nieszczęście przybył w ten sam dzień generał. Pobił wprawdzie Tatarów, lecz raniony w rękę, chciał przez kilka tygodni wypocząć u siostry. Przeszukano z ludźmi jej pokój i znaleziono pierścień pod łóżkiem, i znaczną summę pieniędzy. Była więc teraz biedna Kasia osądzoną jako złodziejka i czarownica; bez dalszego posłuchania była wsadzoną do więzienia i skazaną na spalenie.

Dzień śmierci Kasi nadszedł wkrótce; wzmocniona modlitwą i nadzieją lepszego życia która świeci człowiekowi nieskażonemu występkiem, szła Kasia śmiało na stós do spalenia. Już zbliżała się chwila gdzie miano rozniecić pożerające płomienia, gdy nadbiegł sędziwy starzec, rzucił się do nóg generałowi i błagał w najtkliwszych wyrazach o ułaskawienie Kasi, zapewniając, iż jest niewinną, dobrą i pobożną.

„Znam ją od lat dziecinnych", mówił starzec ze łzami, „i nie widziałem dziewczyny, któraby z równą uwagą i pilnością słuchała nauk naszego Bozkiego Zbawiciela, i któraby z równem nabożeństwem modliła się do Boga."

Kasia poznała w starcu starego pustelnika i była prawie pewną swego ocalenia. Lecz generał nie dał się wzruszyć żadnemi prośbami, bo dowody, iż Kasia była czarownicą, zbyt były jasne.

Wtem ukazał się wśród tłumu jeździec pędzący galopem. Był to Paweł, który w okamgnieniu zeskoczył z konia i rzucił się do nóg generała. „Ta dziewczyna", zawołał, „była moją nauczycielką w religii, ona to nauczyła mnie

znać Boga, kochać go, i żyć podług przykazań jego. Znam ją od najrychlejszej młodości, ona nie może być czarownicą, musi w tem jakaś zachodzić pomyłka."

Lecz nie słuchano słów jego, odesłano go zimno i musiał wśród narzekania opuścić miejsce egzekucyi.

Wtem w pędzie przybyła siostra generała trzymając w ręku zgubiony pierścień. Przebaczenia, przebaczenia! ozwały się głosy w około. „Drogi Bracie", rzekła pani pułkownikowa, w tej chwili przyniósł mi człowiek jakiś pierścionek, znalazł go przededrzwiami mej przyjaciółki u której byłam z wizytą. Nie mogę sobie tego wytłumaczyć inaczej, jak że go musiałem zabrać z chustką do nosa ze stołu i zgubiłam go na drodze."

„To nowe czary", rzekł generał, „ten zaczarowany pierścień jest wprawdzie zupełnie podobny do tamtego. Jeśli będziemy zwłóczyli spalenie tej osoby, która potrafi robić złoto i pieniądze, doczekamy się więcej jeszcze dziwnych rzeczy".

Kasia chciała się wytłumaczyć co do pierścionka i objaśnić, jak się z inkluzem rzecz miała, lecz rozumiała, iż to wprawiłoby ją w większe jeszcze porozumienie. A bardziej przelękła się, gdy ujrzała pomiędzy tłumem ludu szyderczą twarz Marcina.

Biedna dziewczyna zdawała się zapomnianą od Boga i ludzi; słyszano klątwy i złorzeczenia, ona sama tylko modliła się i błagała Boga o śmierć szczęśliwą, gdy wtem ukazał się wśród tłumu Nero. Z wściekłą zajadłością skoczył na generała, podarł mu świetny mundur, i w mgnieniu oka poszarpał więzy krępujące Kasię. Generał rozkazał hyclom, by psa schwycili i ucięli mu głowę.

„Już po jego barwie widać", rzekł, „iż to jest zwierzę czarodziejskie. Któż słyszał na świecie o psie z czerwoną skórą! Pozbądźmy się jak najprędzej tej czarownicy".

Ogień zatlił się już pod stosem, lecz impet wiatru zagasił go znowu. Głowa Nerona upadła pod mieczem katowskim, a na jego miejscu ukazał się starzec poważnej postaci z długą siwą brodą, lecz młodzieńczej krewkości i siły. „Dziękuję ci generale", rzekł, „iżeś mnie wybawił. Przypatrz mi się dobrze, a poznasz we mnie tatarskiego księcia, z którym walczyłeś przed ośmnastu laty w nie jednym krwawym boju. Jako zwycięzca przebiegłem wówczas te kraje, niosąc za sobą śmierć i zniszczenie. Z mordem i pożogą przybyłem raz do domu twojego, gdy ty właśnie innym moim oddziałom stawiłeś czoło. Twą żonę chciałem jako łup mój zabrać ze sobą, lecz ona wzbraniała się całą siłą. Utopiłem miecz mój w jej piersiach; zdarłem jej z palca pierścień i wrzuciłem go w koszyk, w którym leżało jej nowonarodzone dziecię, i wyrzuciłem go na ulicę wśród ciemności nocnej. Moja krwi chciwość była nasyconą. Jechałem dalej zawstydzony tym niecnym czynem przez ciemny las. Moi ludzie jechali wesoło koło mnie, ja sam byłem ponury i milczący. Wtem stanąłem jak martwy, nie mogłem ruszyć się z miejsca, i usłyszałem głos jakiś, który z nadziemskiej krainy pochodzić się zdawał: „Niegodziwy potworze, więc ani dziecięcia nowonarodzonego nie oszczędzasz! Od tej chwili staniesz się psem i musisz się opiekować tą dzieciną tak długo, dopókąd kat nie utnie ci głowy." Powróciłem w postaci psa do twojego domu i wziąłem w zęby koszyk z twem dziecięciem. Kat Chłapka znalazł nas, ulitował się nad nami i wychował twą córkę. Uwięzienie Chłapki zmusiło nas zmienić nasze mieszkanie, i dziwnem zrządzeniem losu dostaliśmy się w pobliże moich rodaków. Gromada moich dawniejszych poddanych rzuciła się na nas i zabrała w niewolę. Lecz moja naturalna postawa, którą wolno mi było przybierać, gdy tego córka twoja nie widziała, odstraszyła ich i zmusiła do ucieczki. Wtem spostrzegłem mego syna jedynego na czele moich wojaków. Uczucie miłości rodzicielskiej pognało mnie za nim. Opuściłem dziewczynę, lecz kara niebios dosięgła mnie niebawem. Widziałem mego jedynego syna upadającego we krwi pod mieczem nieprzyjaciół; skomląc szedłem za ciałem jego aż do obozu Tatarów i tu znalazłem szczęśliwym trafem twą córkę jako jeńca. Wyprowadziłem ją szczęśliwie z obozu nieprzyjacielskiego i przybyliśmy do wojska waszego. Oto widzisz córkę twoją na stosie. Ona nie jest czarownicą. Pierścień, który znalazłeś u niej, jest to obrączka ślubna jej matki; duchem widzianym w jej pokoju ja byłem. Jak przyszła do pieniędzy, opowie ci sama."

Pierścień, o którym generał mniemał, iż pogrzebany jest z żoną jego, był mu teraz podany razem z pierścieniem siostry, a po ścisłem przy-

patrzeniu się obudwom, nie można było wątpić dłużej o prawdziwości słów tatarskiego książęcia; bo na jednym było wyryte polskie M., na drugim zaś W., dla tego przewróciwszy pierścień, łatwo było wziąść jedną literę za drugą.

Zaprowadzono teraz Kasię wśród okrzyków radości do domu jej ojca, który wylewał łzy skruchy i radości niewymownej. Niedola, którą przecierpiała, została jej teraz sowicie wynagrodzoną, i wkrótce doczekała się tej pociechy, iż jej niewinnie uwięzionemu przybranemu ojcu wolność wrócono. Bo brat jej ojca był właśnie ów książę, którego Marcin był okradł.

Dobra Kasia nie wstydziła się w obliczu wszystkich uściskać serdecznie wzgardzonego kata. Na jej prośby pozostał on na dworze jej ojca, a po kilku latach zamknęła mu powieki, gdy jego śmierci godzina wybiła.

Paweł został wkrótce potem szczęśliwym małżonkiem Kasi, a Marcin otrzymał zasłużoną karę. Księcia tatarskiego ukarał Bóg sam za jego morderstwa, dla tego generał uważał za rzecz zbyteczną oddać go pod sądy ziemskie, zwłaszcza że córka błagała go o to. Z bólem serca rozstał się z Kasią jej stary opiekun, odebrawszy od niej najszczersze podziękowania. Opuścił zupełnie wojenne życie, a anioł pokoju powołał go wkrótce do siebie.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Na czemże opierasz to powątpiewanie? — zapytało tajemnicze domino tonem zadziwienia.

— Na jego tyloletniem milczeniu, na braku tych wyrazów, które pochodzą z serca aby do serca przemówić. List jego równie zimny i obojętny, jak on sam.

— Nie sądź go zbyt surowo, — odparł nieznajomy po długiej pauzie. — Serce jego może czulsze jest dla ciebie, niż to sobie wyobrażasz. Rzeczywiście, nie mogę ukrywać przed tobą, iż właśnie dla oddalenia cię od gorącego niebezpieczeństwa, które cię w Anglii spotkać może, ojciec twój pragnie tak gorąco twego wyjazdu . . .

— Jakież to niebezpieczeństwo?

— Masz zawziętego wroga!

— Przeczuwałem to! — zawołał Henry Ashton. — Jakiś instynkt szeptał mi ustawicznie, że istnieje stworzenie tak dla mnie wstrętne, iż nie możemy oba żyć równocześnie! Gdzież więc ten nieprzyjaciel mój?

— On jest możnowładny, posiada bowiem to, co głównie kieruje światem; pieniądze! Dla tych, których miłuje, jest łagodnym jak jagnię;

ale dla nieprzyjaciela, co mu drogę zastępuje, jest nieubłagany jak zgłodniały tygrys, gdy trzyma swą zdobycz w łapach! Wtedy uciekać należy przed nim!

— Uciekać! — zawołał z żywością młodziedzieniec. — O nie znasz mnie wcale! Wszak to jedno z marzeń mojego życia znaleźć przeciwnika godnego, aby go wyzwać do walki! Wzdycham do tego, by się raz już spotkać z rzeczywistościami świata! Marzenia już mnie nudzić zaczynają!

— Znajdziesz i przeciwnika i rzeczywistość.

— Ale kiedyż to nastąpi?

— Wkrótce, bardzo prędko. Moja powinność spełniona, ostrzegłem cię.

— Ale któż jest tym nieprzyjacielem?

— Nie śmiem go wymienić.

— Jakież zajmuje stanowisko?

— Jest znakomitego rodu.

— W jakim wieku?

— Prawie twój rówieśnik. A teraz muszę cię pożegnać! Przez pięć dni jesteś jeszcze bezpieczny; ale po upływie tego czasu, miej się na baczności! Lękaj się własnego cienia, bo odtąd czychać będzie na życie twoje człowiek, którego postanowienie jest niewzruszone, jak skała, o którą napróżno fale się rozbijają!... Mogę dodać, że równie jest nieczułym, jak skała.

Poważny ton, jakim przemawiał nieznajomy, równie jak świadomość miłości jego do miss de Vere, przekonały Henryka, że nie szydzi z niego; dziękował mu więc za okazane zajęcie się jego osobą.

— Jeżeli czujesz jaką wdzięczność ku dawcy tych ostrożności, — odrzekło domino, — dowiedź tej wdzięczności, słuchając mojej rady. Pospiesz do ojca, do Indyi. Tam najświetniejsze widoki otwarte dla siebie znajdziesz; tutaj niebezpieczeństwo zagraża twojemu życiu na każdym kroku, i nic cię nie czeka, prócz rozczarowania i nieszczęścia!

Henry Ashton uśmiechnął się, i nie rzekłszy ani słowa, opuścił nieznajomego. Ufał w siłę swej niepokonanej odwagi. Swiadomość grożącego niebezpieczeństwa pożądaną była dla jego serca.

— Spotkam się z tym wrogiem, — pomyślał sobie, — a wtedy! niechaj się strzeże! znajdzie mnie także stałym i nieustraszonym co do woli i czynu!

Nareszcie poszedł do miejsca, gdzie zostawił Joego. Poczciwy chłopak był otoczony mnóstwem masek, które przyklaskiwały talentowi i krwi zimnej, z jaką wytrwale dotrzymywał roli wieśniaka, znajdującego się pierwszy raz w życiu na balu maskowym.

XIV.

W przeciągu tych dziesięciu dni zostawionych Khanowi na oddalenie współzawodnika, Miran-Hafaz pełen był niespokojności, jak tygrys w klatce zamknięty. Zwyczajem ludów wschodnich, dotrzymywał sumiennie danego słowa, i chociaż pragnął gorąco uwolnić się od zobowiązania, które wstrzymywało go od działania, i niecierpliwość podburzało, postanowił przecież nie rozpoczynać żadnych zabiegów, aż do upłynięcia czasu orzeczonego. Skoro uwolniony będzie od przyrzeczenia, przyrzekł sobie wówczas sam kierować tą sprawą, domyślał się bowiem z posępnego oblicza swego powiernika i z troskliwego unikania z jego strony, aby nie wspominać o tym przedmiocie, że Khan nie doprowadził do skutku swych zamysłów.

— Jakżem nieszczęśliwy, — mówił w duchu młody Indyanin, — żem chciał zaufać na rzędziu, którego sam nie wybrałem...

Potem uśmiechnął się pogardliwie na myśl, że syn włościanina, był tak zuchwałym, aby stanąć na przeszkodzie i odebrać mu miłość Elleny.

— Niepodobna, aby go Ellena kochała, — dodawał w myślach, — wszakże ona równie dumna jak piękna! Ayah omylić się musiała.

Wkrótce atoli ta myśl pocieszająca odstąpiła go znowu. Uwiadomienia, które otrzymał, były tak szczegółowe, że nie pozwalały mu wątpić o ich prawdziwości, musiałby chyba podejrzywać wierność Zary, która była jego karmicielką tak, jak później Elleny, i z równą tkliwością wypiastowane na swem łonie dzieci czciła i kochała.

— Ona go kocha! — zawołał dziesiątego dnia z rana, chodząc szybkim krokiem po swojej komnacie, — ale ja łódkę moją popchnąłem na szeroki ocean, gdzie nie ma ani kwitnącej wyspy, ani zielonego wybrzeża, ani pustyni, w którejbym szukać mógł schronienia! widzę tylko twarde opoki i zdradliwe mielizny, gdzie serce moje rozbić się musi! Ale niechaj się strzegą rozbitki! bo nie ja sam zginę! — dodał z gorzkim uśmiechem.

Wtem jeden ze sług europejskich wszedł

do wschodniej komnaty z doniesieniem, iż pułkownik Mowbray oczekuje go w salonie.

— Powiedz mu niech czeka! — odpowiedział Miran z obojętnością, — a przyprowadź mi tu Khana.

Służący z zadziwieniem spojrzał na swojego pana; nie przywykł widzieć, aby takiego rzędu gości jak pułkownik, przyjmowano sposobem podobnie upokarzającym.

W kilka minut potem, poważny powiernik Mirana wszedł do komnaty.

— Widzę, że się twoje zamiary rozbiły, — rzekł Indyanin z szyderskim uśmiechem, — twoja przebiegłość zawstydzoną została przez dzieciaka, przez chłopca wiejskiego. Odtąd nie będę więcej ufał nikomu, tylko sobie samemu!

— To prawda, że mi pomieszano szyki, — odpowiedział Khan, — ten dzieciak, ten syn włościański, jak go nazywasz, w którym istotnie mniemałem znaleźć nieokrzesanego chłopa, z myślami i uczuciem pokornem, jak jego nizkie pochodzenie, zadaje kłam swojemu stanowisku; jest on z tego kruszcu, z którego dzielni powstają mężowie, posiada wolę i odwagę, równie dumną i niepokonaną, jak ty!

Oczy syna Wschodu zabłysły radością. Było to pociechą dla jego dumy, gdy się dowiedział, że jego rywal, współubiegający się z nim o miłość Elleny, jest przeciwnikiem godnym z nim się zmierzyć. Jak szermierz przywykły do zapasów, tęsknił niecierpliwie do boju, który miał między nimi rozstrzygnąć.

— Dobrze więc! — zawołał, — to lepiej przypada mi do smaku. Wolę zawsze ścigać tygrysa, niż lękliwą gazelę; zdeptać węża grożącego mi swym jadowitym zębem, niż gnieść bezbronnego robaka.

Khan potrząsał głową z wyrazem zniechęcenia.

— Cóż to! — mówił dalej zakochany Indyanin, czytając w obliczu swego mentora, — myślisz mnie odstraszyć od walki z tym wiejskim bohaterem? Mniemałem, że przynajmniej ty mnie lepiej poznałeś!

— Ja też nie powątpiewam o twojej odwadze.

— A o czemże? — zapytał z dumą młodzieniec.

— Zaczynam wątpić o pomyślnym skutku twoich zabiegów. Twoja energia podobną jest do straszliwych wichrów twojej ojczystej krainy, do tych burzliwych uraganów, które gruchocą skały i zmiatają doliny; jego zaś siła woli wyobraża tę wytrwałość niezmordowaną, co ślady tego zniszczenia zaciera. Dzieje Indyi noszą dowód tej różnicy, jaka istnieje między plemieniem Saksonów, a twoimi ziomkami.

Miran-Hafaz w milczeniu przypatrywał się swojemu poufnikowi. Pierwszy to raz dopiero zdarzyło mu się, żeby Khan, ten odstępca swej ojczyzny, odważył się nietylko jego woli, ale nawet najmniejszemu zachceniu swego młodego pana stawić zaporę, i nie pojmował, co znaczył ten upór. Wtem przyszło mu na myśl, jak usilnie Khan starał się otoczyć tajemnicą swoje pochodzenie, tając nietylko krainę w której się rodził, ale nawet znajomość języka angielskiego; powziął więc najniedorzeczniejsze podejrzenie.

— Czy on jest krewnym twoim — zapytał.

— Ani z krwi ani z imienia nie jest mi blizkim, — odpowiedział Khan bez najlżejszego pomięszania lub wachania. — Gdyby go węzły rodzinne ze mną łączyły, bądź pewnym, Miranie, że pomimo przywiązania, jakie czuję dla ciebie, pomimo pamięci twego ojca, który był moim przyjacielem, znalazłbym sposób usunąć go przed twoją nienawiścią. Ale muszę się tylko ograniczyć na ostrzeżeniu, które jeszcze powtarzam: Strzeż się Henryka Ashton!

Rysy zazwyczaj tak spokojnej twarzy Mirana, przybrały wyraz zdziwienia i gniewu zarazem.

— Czy to groźba?... — zapytał porywczo.

— Nie, — rzekł poważnie zaprzaniec, — nie groźba, ale wyrzut; bo gdy raz serce dotknięto boleśnie, usta milczeć dłużej nie mogą. Służę ci od lat dziecięcych; miłowałem cię jak syna; stokrotnie narażałem życie dla wykonania twoich zleceń; pielęgnowałem cię w chorobach i smutkach; teraz, kiedy przezorne rady starca nie zgadzają się z porywczą niecierpliwością twego młodocianego wieku, masz mnie w podejrzeniu, mnie! po tylu dowodach przywiązania?... Zaufanie jest pieczęcią przyjaźni; niedowierzanie kruszy ją i zrywa te słodkie uczucia.

— Masz słuszność, — przerwał młodzieniec podając wiernemu słudze rękę, którą ten czule uścisnął, — ale gdybyś mógł czytać w mem sercu, litowałbyś się nademną i przebaczyłbyś moją popędliwość; zazdrość i zawiedziona nadzieja miotają mną na przemian. Ellena była jedynem miłości mej marzeniem; gwiazdą oświecającą moje życie; jeżeli ta gwiazda zagaśnie dla

mnie, to będzie kresem mojego istnienia. Choć nie podzielam twego zdania, nie mniej umiem ocenić twoje serce, które kieruje twojemi radami; ale tyś nigdy nie kochał!

Smutny uśmiech przebiegł po ustach poważnego doradzcy Mirana.

— Albo jeżeli znałeś kiedy miłość, wiek musiał zamrozić w twych żyłach to wzniosłe uczucie; serce twoje słucha teraz tylko zimnego i roztropnego natchnienia rozsądku, podczas gdy moje, jak wulkan, goreje ogniem przytłumionym. Gdy się wyczerpie cierpliwość, gdy ostatnia pęknie zapora, lawa namiętności naokoło zniszczenie rozniesie!

— Widzę, że to daremne usiłowanie chcieć ci zalecić cierpliwość, — rzekł starzec wzruszony głęboko widoczną niespokojnością swego wychowańca, — ale przynajmniej chciej usłuchać głosu przezorności. Nie jesteś teraz w Indyi, ale w kraju, gdzie włada potęga, którą złoto przekupić nie zdoła, którą nic nie ugnie, bo jest bez namiętności, jako ustawa, zimna i nieczuła, jak śmierć. Tą niewzruszoną potęgą jest: sprawiedliwość!

— Sprawiedliwość! — powtórzył Miran z uśmiechem szyderczym, — gdzież ją znajdę tę sprawiedliwość? Czy w waszym parlamencie, u którego spustoszone Indye błagają pomocy napróżno, i gdzie swobody narodu zaprzedawane bywają co roku za urzędy i godności? Czy ją znaleźli wasi niewolnicy, ci biedni włościanie, co pracują, sieją i zbierają dla swych niewdzięcznych panów? Sprawiedliwość! żartujesz chyba!

— A jednak życie najnędzniejszego z tych, co niewolnikami nazywasz, jest równie nietykalnem w obec prawa, jak życie najznakomitszego magnata.

— To być może. Są to pszczoły pracujące, a trzmiele znają ich wartość.

Nie chcąc przedłużać tej rozmowy, Miran klasnął w dłonie i rozkazał słudze, który przybiegł na to zawołanie, aby powiedział pułkownikowi, iż gotów go przyjąć.

— Pragnę odwiedzić jenerała Bouchier, którego majętność graniczy z włościami należącemi do Carow-Abbey, — rzekł do Khana. — Zobaczę Ellenę i tego potężnego współzawodnika; sam przekonam się, co o nim sądzić, i postąpię według tego... Nie zatrzymuję cię dłużej.

Towarzysz zakochanego Indyanina zrozumiał ten rozkaz i oddalił się. Czuł, że nie posiada już zaufania swego młodego pana; a to przekonanie zamiast gorliwość jego podnieść, ostudziło ją bardziej jeszcze. Od chwili powrotu do Anglii, uczucia i wspomnienia, uśpione na długo w jego sercu, na nowo się obudziły; niewdzięczność wychowańca oburzyła go, i po raz pierwszy pomyślał o możliwości zniszczenia jego zamiaru, ale natychmiast myśl tę odsunął.

— Jeszcze nie czas, — rzekł sam do siebie. — On nie domyśla się wcale, że mógłbym wyrzeczeniem jednego słowa położyć zaporę nieprzekroczoną między nim a jego widokami, zaporę nawet dla niego niepodobną do przebycia. Ale pora ku temu jeszcze nie nadeszła. Czekajmy! może ja zbyt porywczy o nim sąd powziąłem, mniemając go zdolnym do popełnienia zbrodni!

W korytarzu zszedł się z pułkownikiem, a gdy go pozdrowił, spojrzał na niego bacznie. Odstępca wierny swemu postanowieniu, by uchodzić za Indyanina, powitał go w sposób wschodni.

— To dziwne przywidzenie! — rzekł półgłosem Mowbray sam do siebie, — przysiągłbym na to, żem już gdzieś widział te rysy!

Renegat usłyszał te słowa i uśmiechnął się nieznacznie; byłby mógł powiedzieć Anglikowi gdzie i w jakiej okoliczności je widział.

Gdy pułkownik wszedł do komnaty, gdzie go Miran oczekiwał, ten nie ruszając się z miejsca, wskazał mu niedbale wezgłowie obok siebie. Rumieniec wystąpił na czoło przybysza. Jak wiele ludzi wielkiego świata, zachował w sobie pychę wysokiego rodu i stopień, straciwszy rzeczywiście honor, który mu dawał jakieś prawo do tej dumy.

— Widziałeś się z jenerałem Bouchier? — zapytał go Indyanin.

— Tak jest. Zaprosił mnie z synem moim na polowanie do siebie na wieś w Norfolk.

— I przyjąłeś zaproszenie?

— Jeszcze nie.

— Przyjmiesz je więc. Nadeszła chwila, w której możesz wyświadczyć mi przysługę, a tem samem wykupić jeżeli nie cześć rzeczywistą, to przynajmniej pozory uczciwości. W tem świecie, gdzie się obracasz, nie patrzą dalej jak na powierzchnię, a zatem szych łatwo ujdzie za złoto.

Pułkownik zagryzł usta, aby nie wybuchnąć gniewem na to obelżywe szyderstwo. Mi-

ran dostrzegł to i uśmiechnął się pogardliwie. Czuł się w położeniu człowieka silnego, depcącego głowę jadowitemu wężowi; śmiertelne drgania głazu wijącego się z bólu, zdawało się przyjemność mu sprawiać.

— Już czas, abyśmy się rozumieli, pułkowniku Mowbray; obrażają mnie te ponure spojrzenia i te gniewne poruszenia. Jeżeli ja zadaję gwałt mojej naturze, aby cię w obec świata jak przyjaciela przyjmować, dotykać twojej ręki, którą się brzydzę, i zachowywać pozory wzajemnych uprzejmości względem człowieka pozbawionego wszelkiej czci, to sam przyznasz, że muszę sobie wynagrodzić ten przymus traktując cię z należną wzgardą ilekroć sami jesteśmy.

Podczas tej przemowy, której każdy wyraz jak ołów roztopiony sączył się na serce gracza, nieszczęśliwy ten chodził krokiem niespokojnym po komnacie, wrząc z wściekłości i wstydu. Wzdrygnął się wreszcie jak rumak na pół dziki, któremu jeździec nie szczędził ostrogi; zatrzymawszy się nagle naprzeciw sofy, na której spoczywał Miran niedbale oparty, zacisnął zęby i wymówił:

— Nikczemny!

— Kto jest nikczemny! — zawołał Indyanin zrywając się na równe nogi.

— Jakże nazwiesz tego, który lży bezbronnego nieprzyjaciela? kto wyrachowawszy z szatańską przebiegłością jego słabostki, potrzeby, namiętności, przyciąga go nad brzeg przepaści z tem przekonaniem, że jedno potknięcie się zgubę mu zgotuje? Gdybym nie miał syna, któremu serce pękłoby wskutek hańby jego ojca, pokazałbym ci co to znaczy stanąć w drodze Mowbrayowi!

Miran poglądał przez kilka chwil na mówiącego w milczeniu, jakby chciał dociec, czy ten gniew był istotny, czy udany, czy to było komedyą zręcznie odegraną, czy też gwałtownym wybuchem dowodzącym, że w tej duszy nie wygasło jeszcze wszelkie uczucie honoru i godności człowieka.

— Słusznie powiedziałeś, zwycięzca powinien być wspaniałomyślnym, — rzekł nareszcie padając na wezgłowie sofy, — masz syna, którego kochasz, zapomniałem o tem. Nie wszystko jeszcze w tobie zepsute do szczętu; miłość ojcowska uszlachetnia cię. A więc nie rozpoczynajmy więcej scen podobnych; ale kiedy los nas przykuł nawzajem w jednym celu, znośmy cierpliwie tę wspólną niewolę.

— Jakiż jest cel twój?

— Kocham Ellenę de Vere.

— Moją siostrzenicę?

— Kocham ją namiętnie, do szaleństwa, z całym zapałem człowieka zrodzonego i wychowanego pod słońcem ognistem mojej ojczyzny! Ona jest duszą mojego życia, bożyszczem mojego serca! Dla otrzymania jej ręki porzuciłem kraj rodzinny; dla zdobycia jej, gotów jestem przełamać wszystkie przeszkody, walczyć nawet przeciwko śmierci, gdyby zagradzała mi drogę wiodącą w objęcia Elleny! Ty mi pomagać musisz.

— Ja? zapominasz, że sir William Mowbray jest jej opiekunem, ten tylko rozrządzać może jej ręką!

— To marzyciel! — rzekł Miran z lekceważeniem.

— Strzeż się przebudzać tego marzyciela! — rzekł pułkownik, czując się swobodniejszym od chwili, gdy poznał dążność Indyanina, a może chciał cenę swej przysługi podwyższyć. — Za młodych lat brat mój był jednym z najodważniejszych kawalerów swojego czasu, w robieniu bronią i strzelaniu z pistoletu nikt mu nie dorównał; posiadał też energię, którą wiek może przytłumił, ale nie zdołał do szczętu wytępić. Charakter jego jest wspaniały, otwarty i szczery. Ci, których kocha, mogliby nim łatwo zawładnąć, ale najsilniejszy wróg nie jest wstanie odwieść go z obranej raz drogi.

— Co za szkoda, że tak dzielny umysł poniósł rozbicie! Jakże go dotknęli nieprzyjaciele jego?

— Umieli go zranić w najsłodszych jego uczuciach, w istotach co mu najmilsze były!... Nie było nań innego sposobu, — odpowiedział pułkownik. — Teraz pojmuję, dla czego pragniesz, abym przyjął zaprosiny jenerała Bouchier, — dodał z widoczną chęcią odwrócenia przedmiotu rozmowy, — majętność jenerała graniczy z posiadłościami Carrow-Abbey. Ale dla czego wprost nie masz jechać do mego brata i przedstawić mu się? Twój majątek i położenie towarzyskie nadają ci prawo starać się o rękę mojej siostrzenicy. Domyślam się, że ją znasz?

— Byłem jej towarzyszem lat dziecięcych.

— A czy ona cię kocha?

— Lubiła mnie dawniej, — odrzekł Miran

ze smutkiem, — przynajmniej uczucia jej dla mnie były w miłości tem, czem jest pączek róży w stosunku do rozkwitłej później królowej kwiatów. Już rumiane listki zaczynały przedzierać się przez osłonę dziewiczej skromności; już niebawem miały rozwinąć się w całej pełni przepysznej krasy. Ale rozstanie, podobne do mroźnego wichru waszej zimy, zwarzyło pączek miłości przed rozkwitem.

Głos smutny i drżący uczuciem, jakiem te wyrazy były wymówione, tak odmienny od zimnej zwykle powagi młodego Indyanina, nie uszedł baczności pułkownika i wiele mu dał do myślenia. W miłości Miran ku jego siostrzenicy, zaczął upatrywać sposobność do odzyskania niejako broni straconej, i oswobodzenia się z zawisłości, w jakiej był splątany w obec niego. Znikomy uśmiech, niby lekki cień tych myśli, przesunął się na chwilę po jego rysach, by wkrótce zniknąć znowu.

Ale Miran dostrzegł ten uśmiech i odgadł może myśl pułkownika, bo nagle otrząsł się z rozczulenia spowodowanego wspomieniem o Ellenie; serce jego napowrót oblokło się niby stalową zbroją, otoczyło się zimną obojętnością i rzekł:

— Zawieziesz mnie tam; użyjesz twego wpływu na brata, aby mi dopomódz w osiągnieniu ręki Elleny, aby zrównoważyć powodzenie mego współzalotnika.

— Współzalotnika! — zawołał Mowbray z najwyższem zdziwieniem. — Któż to u licha mógłby nim być? Gdzież miała znaleźć Ellena zalotnika? Zdaje mi się, że mało kto bywa w zamku?

— Jest nim młody człowiek bez urodzenia, prostak ze wsi, który jej życie ocalił, — szepnął niecierpliwie Indyanin. — Zostaw go mnie, ukarzę jego zuchwalstwo!

— Najchętniej, w dobre się ręce dostanie! Ale w imię fortuny i jej tysiącznych kaprysów, powiedz mi choć nazwisko tego nowożytnego Cymona.

— Henry Ashton, bratanek któregoś z dzierżawców sir Williama Mowbray.

Pułkownik zbladł okropnie, a potem krew z gniewu uderzyła mu do głowy.

— Jakto? moja siostrzenica, córka jenerała de Vere, poniżyłaby się tak dalece, by usłuchać podszeptów miłości jakiegoś potomka dzierżawców swego wuja! To niepodobna! Jeżeli brat mój zapomina co winien honorowi swojego imienia... czas, abym ja o tem pamiętał! Jestem gotów na twoje usługi sercem i głową! możesz mną rozporządzać, Miranie!

— Czy masz nadzieję, że się nam uda?

Pułkownik prawie pogardliwie uśmiechnął się na to zapytanie. Miał widać środki, jakich się Indyanin nie domyślał.

— To rzecz niezawodna, że się uda, — odrzekł.

— Spraw że się dobrze, — rzekł Miran drżącym od wzruszenia głosem, — a w dniu, który uwieńczy moje życzenia, w dniu, w którym zostanę małżonkiem Elleny, nietylko zwrócę ci straszliwy dowód twej hańby, ale jeszcze bogactwami cię obdarzę! Nie potrzebuję wcale majątku za żoną, — dodał widząc zdziwienie malujące się na twarzy swojego gościa, — jej piękność wystarczy mi za posag. Były jej majątek oddam tobie!

— A więc sprawa już załatwiona, — rzekł pułkownik, podając mu rękę, którą teraz zakochany Miran bez wstrętu uścisnął, tak był zadowolony pomyślnym obrotem tej rozmowy; — uważaj Ellenę, jakby była twoją.

Po tych słowach pożegnali się z sobą.

XV.

Galerya portretów familijnych w Carrow Abbey, była to obszerna i jasna komnata, zajmująca całą długość wschodniego skrzydła zamku. Wizerunki członków rodziny Mowbray starannie w niej były przechowywane. Malowidła zdobiące ściany sali, przedstawiały rodowód tego pokolenia, które przez długi przeciąg wieków, posiadało szerokie i żyzne dokoła włości.

Ellena lubiła przechadzać się i bawić marzeniem w tym ogromnym gmachu; zabierała znajomości z nieboszczykami, którzy pośród złoconych ram, zdawały się uśmiechać do młodej i pięknej latorośli ich starożytnego rodu.

Mistress Jarmy, ta zacna ochmistrzyni, towarzyszyła jej często w przechadzkach po tej galeryi. Sędziwa sługa znała doskonale dzieje tego domu, pamiętała też wszystkie podania przez domowników zbierane, i umiała opowiadać mnóstwo szczegółów zajmujących i ciekawych, odnoszących się do różnych potomków rodziny Mowbray.

Już często zwracał uwagę sieroty obraz na końcu galeryi umieszczony, zasłonięty czarną

aksamitną oponą, na której fałdach kurz obficie nagromadzony, dowodził, że nigdy, albo rzadko kiedy rozsuwano ponurą zasłonę. Już kilkakrotnie przychodziła jej chęć zapytać starą klucznicę, co to za obraz i dla czego na nim to osobliwsze okrycie; ale staruszka zawsze odwracała się, bądź zaczynała opowiadać miłostki i przygody której z uśmiechających się pań, albo jakiego żelazną zbroją okrytego rycerza, których portrety na przeciwległym krańcu galeryi postrzegać się dawały. Daremnie powtarzane usiłowania przekonały miss de Vere, że chcąc zaspokoić ciekawość wzbudzoną tym widokiem, będzie musiała zadać wyraźne zapytanie o ten tajemniczy portret.

Drugiego dnia po powrocie Henryka z Londynu, miss de Vere przechadzała się znowu w wspomnianej galeryi wraz z szanowną mistress Jarmy i Zarą, i nagle stanęła przed zakrytym obrazem. Wstrzymała swe kroki, i jakby popchnięta siłą niezwyciężoną, wyciągnęła rękę dla rozsunięcia zasłony.

Drżącą ręką zatrzymała jej ramię staruszka.

— Nie ruszaj tego, miss de Vere! nie dotykaj tej zasłony, proszę cię, — szepnęła spiesznie.

— A dla czego nie? — spytała panienka.

— Sir William zakazał odkrywać ten obraz, póki on przy życiu, i przekonaną jestem, że nie zechcesz postąpić wbrew jego woli.

— Istotnie, że tego nie uczynię, kiedy wuj zakazał; ale przynajmniej wolno mi zapytać ciebie, kogo przedstawia ten wizerunek tak szczelnie zasłonięty?

-- To jest portret żony i syna jego, -- rzekła zcicha ochmistrzyni.

Zarumieniło się śliczne dziewczę. Choć jeszcze bardzo młodą była przed wyjazdem z Indyi, przypomniała sobie, że mówiono w domu jej rodziców, z jakiego powodu jej wuj usunął się od świata, by pędzić życie samotne.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

CYKORYA.

Korzeń cykoryi, którą dawniej więcej używano z kawą z powodu jej drogości, i którą jeszcze dzisiaj używają ludzie ubożsi, podobnym jest do korzenia pietruszki. Łodyga wyrasta na dwie lub trzy stopy, listki dolne są ząbkowate jak u brodawnika mleczowego. Preparacya cykoryi jest bardzo pojedyńczą. Wybiera się starsze białe korzenie, czyści się, kraje i suszy je w piecu, następnie piecze się w żelaznym cylindrze nazwanym bębnem, który się obraca po nad ogniem z koksu. Cykorya ma gdy się ją wyjmuje z cylindra kolor ciemno brunatny i jest miękką i giętką, gdy zaś ostygnie jest twardą i kruchą. Następnie oddaje się ją do młyna, zkąd wychodzi tak miałką jak mąka. Cykoryę sieją w znacznych ilościach w Belgii, Holandyi, Francyi i Niemczech. W Belgii zwłaszcza rodzi jej się wiele bo używają ją tam jako warzywo. Dla handlu krajowego pakuje się cykoryę w małe okrągłe lub też czworograniaste paczki. Cykoryę trzeba utrzymać w zamkniętem pudle i w suchem miejscu, w przeciwnym razie się popsuje. Dla wywozu za granicę nie miele się cykoryi, lecz kraje na większe kawałki. Gdy zaś ma być wysłaną w kształcie proszku, trzeba ją wsypać do blaszannych pudełek, które szczelnie muszą być zalótowane, aby powietrze do niej nie doszło.

GAŁKI MUSZKATOŁOWE.

Gałki muszkatołowe rosną na małych drzewach, które są podobne do gruszek; zwyczajnie nie są wyższemi od dwudziestu stóp. Kwiecie jest podobne do lilii polnych — jest bladem i wydaje ostrą woń. Gałka muszkatołowa jest siemieniem owocu a tak nazwany kwiat muszkatołowy jest cienkiem pokryciem owocu. Owoc ma wielkość brzoskwini. Gdy jest dojrzałym, otwiera się sam i okazuje mały orzech w środku. Drzewa muszkatołowe rosną w Azyi i w zwrotnikowych okolicach Ameryki. Rodzą owoc przez 70 lub 80 lat, mając na sobie owoce dojrzałe we wszystkich porach roku. Na wyspie Jamajka znajduje się drzewo które ma rok rocznie 4000 sztuk owocu.

Holandczycy handlowali dawniej gałkami muszkatołowemi gdy posiadali wyspy Bahama. Aby utrzymać cenę wysoką, spalili pewnego razu trzy niezmierne kupy tych orzechów i zniszczyli dużo drzew. Lecz gołębie muszkatołowe, które się żywią temi orzechami, rozniosły siemię po wszystkich wyspach zachodnich indyjskich — drzewa porosły znów, a świat korzysta z nich jak dawniej.